

LAVIE TIDHAR – **AMBITNE PULP FICTION**

NOWA Fantastyka

03 (378) 2014 MIESIĘCZNIK MIŁOŚCI FANTASTYKI CENA 9 ZŁ 99 GR (w tym 8% VAT)

**NOMINACJE DO NAGRÓD
„NOWEJ FANTASTYKI”**



JUŻ W SPRZEDAŻY

**Z FILMU DO
TELEWIZJI**
– NAJNOWSZE
SERIALE

NOE I INNI
– WODNE
KATAKLIZMY
POTWÓR
Z LOCH NESS
Z LAMUSA

OPOWIADANIA:

STROSS

TOLBERT

VALENTINE

PODRZUCKI

CHODOROWSKA

PROSZYŃSKI
MEDIA

©2014 PARAMOUNT PICTURES.

ISSN 0867-132X



03
INDeks 358398



04

Opowieści o potopie stanowią źródło inspiracji dla niezliczonych utworów. Po biblijną historię sięgnął także Darren Aronofsky, reinterpreterując losy Noego w dość nietypowy sposób.



07

W amerykańskiej telewizji zapanowała moda na realizację seriali opartych na kinowych przebojach. W najbliższym czasie szykuje się sporo atrakcyjnie zapowiadających się produkcji.



10

Rok 2014 będzie wyjątkowy – pod koniec marca swoje nagrody po raz pierwszy wręczą najstarszy polski magazyn poświęcony fantastyce oraz największy rodzimy konwent.



12

W poprzednim odcinku przyjrzelśmy się historii izraelskiej fantastyki. Pora spojrzeć na współczesną literaturę tego kraju i młodych autorów, którzy wkroczyli na scenę.

PUBLICYSTYKA

- 2 ZAPOWIEDZI
- 3 ZASTRZYK PRZYSZŁOŚCI *Mateusz Wielgosz*
- 4 OBLICZA HYDROZAGŁADY *Przemysław Pieniążek*
- 7 MAŁY SREBRNY EKRAN *Adam Siennica*
- 10 „NF” I PYRKON NAGRADZAJĄ *Marcin Zwierchowski*
- 12 FANTASTYCZNY ŚWIAT – IZRAEL CZ.2 *Marek Grzywacz*
- 14 AMBITNE PULP FICTION *Rozmowa z Lavie Tidhareem*
- 63 OBRAZ, SŁOWO, ALZHEIMER, CZ.1 *Maciej Parowski*
- 65 POTWÓR Z LAMUSA *Agnieszka Haska, Jerzy Stachowicz*
- 72 CENZUROWANIE JĘZYKA *Rafał Kosik*
- 78 CZŁOWIEK PRACY I DUCHY *Lukasz Orbitowski*

PROZA POLSKA

- 17 FALSTART *Wawrzyniec Podrucki*
- 30 KRE(JZ)OLKA *Krystyna Chodorowska*

PROZA ZAGRANICZNA

- 40 COŚ NAJBLIŻSZEGO *Genevieve Valentine*
- 50 DZIKA FARMA *Charles Stross*
- 57 UTRACONA DUSZA MARGUERITE ESPINOZY *Jeremiah Tolbert*

RECENZJE

- 67 KSIĄŻKI 73 FILM 76 KOMIKS



foto: J. Luthas

SZTUKA PRZEGRYWANIA

Jest takie powiedzenie: *Nie dyskutuj z idiotą – najpierw sprowadzi cię do swojego poziomu, a później pokona doświadczeniem*. Zapewne każde z nas nieraz było świadkiem takiej sytuacji, na żywo lub w Internecie: dyskusja na trudny temat, wszystkie strony okopane na pozycjach, argumenty latają jak pociski (głównie nad głowami, bo rzadko który trafia), a gdy jednej ze stron kończy się merytoryka, następuje płynne przejście do wycieczek osobistych i w zasadzie cały spór, jeśli w ogóle miał jakikolwiek sens, w tym momencie zostaje go pozbawiony. Zderzenie poglądów przestaje być próbą wzajemnego zrozumienia czy wypracowania wspólnego gruntu, a staje się erystyczną wojną na wyniszczenie. Wypada tutaj wyciągnąć ciekawostkę: słowo „erystyka” wywodzi się od imienia Eris, greckiej bogini niezgody – tej samej, której jabłko uruchomiło reakcję łańcuchową prowadzącą do wojny trojańskiej.

Profesor Daniel H. Cohen, filozof specjalizujący się w teorii dyskusji, przekonuje, że takie podejście jest najgorszym z możliwych. Owszem, „zwycięzca” może być z siebie dumny. Zgniółł (a przynajmniej zagadał) oponenta, zyskał poklask gawiedzi, jednak są to krótkotrwałe korzyści. Paradoksalnie, gdy w grę wchodzi merytoryczna wymiana opinii, to „przegrany” ma szansę wynieść ze sporu wymierną korzyść: nową wiedzę, popartą rzeczowymi, wypróbowanymi (na własnej skórze) argumentami. Zwycięzca stoi w miejscu, a przegrany się rozwija. Pod warunkiem, rzecz jasna, że nie jest zbyt twardogłowy, aby przyznać rację drugiej stronie.

Wychodzi na to, że istotą owocnych dyskusji (i sednem kompromisu) jest gotowość wszystkich uczestników do mądrego przegrywania. Nie jest to ani łatwe, ani przyjemne – przyznaję, wiem coś o tym – ale jeśli weźmiemy sobie słowa profesora Cohena do serca, nigdy nie wyjdziemy z żadnej dyskusji naprawdę przegrani.

Zapraszam do lektury!

Jerzy Rzymowski

W NASTĘPNYM NUMERZE:

Łukasz Malinowski
Córka Aegira

Scott Lynch
Machina sterowana zdalnie



PRZEMYSŁAW PIENIAŻEK

OBLICZA HYDROZAGŁADY

NA POŁY MITYCZNE OPowieści o WIELKIM POTOPIE, BOŻYM WYBRAŃCU ORAZ DRYFUJĄCEJ PO NISZCZYCIELSKIM ŻYWIOLE ARGE STANOWIĄ ŹRÓDŁO INSPIRACJI DLA NIEZLICZONYCH UTWORÓW. PO BIBLIJNĄ HISTORIĘ SIĘGNAŁ TAKŻE DARREN ARONOFSKY, REINTERPRETUJĄC LOSY NOEGO W DOŚĆ NIETYPOWY SPOSÓB.

Zgodnie z tradycją judeochrześcijańską Z opowieści wchodzące w skład Księgi Rodzaju zostały spisane przez proroka Mojżesza w XIII-XII wieku przed naszą erą. Egzegeci zgadzają się co do tego, że niektóre wątki księgi (opisujące pewne wydarzenia na kilka różnych, niejednokrotnie sprzecznych ze sobą sposobów) bazują na o wiele starszych źródłach, utrwalonych w mowie i piśmie. Interdyscyplinarne badania nad historią biblijnego potopu wykazują równocześnie, iż w dziejach ziemskiego globu mogło dojść do dwóch spektakularnych powodzi. Jedna, o globalnym zasięgu, była realną konsekwencją końca ery lodowcowej, druga spustoszyła tereny w dolinie Tygrysu i Eufratu.

PEŁNE ZANURZENIE

Zgodnie ze starotestamentowym zapisem, zatrważająca ludzka niegodziwość sprawiła, że Najwyższy postanowił odwrócić się od swojego stworzenia i pogrążyć je w odmętach. Tylko sześćsetletni **Noe** znalazł uznanie w oczach Boga, który nakazał patriarche wybudowanie arki, będącej schronieniem dla rodziny wybrańca oraz przedstawicieli świata zwierząt. Opis biblijnej hydrozagłady odzwierciedla przekonanie starożytnych Izraelitów o tym,

że Ziemia ma kształt dysku znajdującego się między dwiema warstwami wód chaosu. Kiedy bowiem przyszedł czas (...) *trysnęły z hukiem wszystkie źródła Wielkiej Otchłani i otworzyły się upusty nieba na czterdzieści dni i czterdzieści nocy* (Rdz 7, 11-13).

Na tym jednak nie koniec. Choć opady ustały, poziom wody konsekwentnie rósł przez kolejne sto pięćdziesiąt dni, obniżając się dopiero po dalszych pięciu miesiącach. Gdy arka finalnie osiadła na górze Ararat, Noe (po czterdziestu dniach) wypuścił kruka, którego rychły powrót nie wróżył powodzenia. Zwiastunem dobrej nowiny okazała się gołąbica trzymająca w dziobie świeży listek z drzewa oliwnego. Pochodzące z różnych stron świata opowieści o wielkim potopie oraz boskim ulubieńcu będącym ojcem nowego rodzaju ludzkiego wykazują wiele cech wspólnych na poziomie topiki, aczkolwiek podlegają reinterpretacji zgodnie z duchem poszczególnych kultur.

WODNY ŚWIAT

W Koranie patriarcha **Nū** na przekór szederstwu buduje arkę, na którą (obok roślinno-zwierzęcego inwentarza) zabiera siedemdziesięciu sześciu czcigodnych, dopływając wraz z nimi na wylaniającą się z

odmętów górę Al-Judi. Jedenasta tabliczka sumeryjskiego „Eposu o Gilgameszu” ukazuje okoliczności spotkania tytułowego władcy z **Utnapisztim**, który ostrzeżony przez Enkiego (stworcę człowieka i patrona słodkich wód) ocalał wraz z bliskimi z kataklizmu zesłanego przez boga Enlila. Wypchany po brzegi korab wybrańca osiadł na górze Nimusz, gdzie zgodnie z tradycją dokonało się przymierze. Żałujący swojej pochoptej decyzji niebianie docenili bowiem trud Utnapisztima włożony w zorganizowanie „akcji ratunkowej” i zaofiarowali bohaterowi oraz jego małżonce dar nieśmiertelności.

Także w irlandzkiej mitologii odnajdziemy mokre ślady pozostawione przez Noego, a ściślej – przez jego syna Bitha, o którym nie ma mowy w Starym Testamencie. Według mitu, Bithowi odmówiono miejsca na arce. Na szczęście w kryzysowej chwili mógł liczyć na swoją córkę **Cessair**. To dzięki niej wybudowano statek, który wypłynął w trwający ponad siedem lat rejs, zwińczony najazdem na Zieloną Wyspę, na czterdzieści dni przed rozpoczęciem potopu.

Temat wodnej zagłady kilkakrotnie powraca również w greckich mitach. Zeus, rozsierzdzony czynem króla Arkadii Likaona (na swoją zgubę testującego czujność oraz

MAŁY SREBRNY EKRAN

ADAM SIENNICA

W AMERYKAŃSKIEJ TELEWIZJI ZAPANOWAŁA MODA NA
REALIZACJĘ SERIALI OPARTYCH NA KINOWYCH PRZEBÓJACH.
W NAJBLIŻSZYM CZASIE SZYKUJE SIĘ SPORO ATRAKCYJNIE
ZAPOWIADAJĄCYCH SIĘ PRODUKCJI.

Wbrew pozorom, w historii telewizji nie było zbyt wielu udanych seriali opartych na filmach – hity możemy policzyć na palcach jednej ręki. Najbardziej znaną produkcją jest „M*A*S*H” – popularność serialu sprawiła, że zapomniano o filmowym pierwowzorze. Bardziej współczesnym przykładem na to, że da się zrobić świetną produkcję telewizyjną na podstawie kinowego tytułu, są „Gwiezdne wrota”. Kto by pomyślał, że w oparciu o jedną superprodukcję powstaną trzy kilkusezonowe serie i spore, wyraziste uniwersum? Obecnie moda na realizację seriali w oparciu o znane filmy nasila się, a w najbliższym czasie szykuje się sporo interesujących produkcji.

OD KRZYKU DO ŚWITU

Robert Rodriguez planuje podbić mały ekran pierwszym oryginalnym serialem założonej przez siebie stacji kablowej El Rey Network. Chodzi oczywiście o „From Dusk Till Dawn: The Series”, oparty na „Od zmierzchu do świtu” Rodrigueza i Tarantino. Ma on odtworzyć wydarzenia z filmu i zarazem znacznie je rozbudować o ciekawe aspekty mitologii wampiryzmu. To jednak nie jedyna nadchodząca propozycja Rodrigueza, który planuje także produkcję osadzoną w świecie „Sin City”. Nie będzie to serial dokładnie oparty na którymś z filmów, lecz kontynuacja „Sin City: A Dame to Kill For”. Projekt znajduje się na razie w fazie planowania, a ostateczne decyzje zapadną po premierze sequela „Sin City”.

Stało się już standardem w telewizji, że przyciąga ona filmowców z najwyższej półki.

Efektem tego jest szybko zbliżający się debiut Joela i Ethana Coenów („To nie jest kraj dla starych ludzi”), którzy w roli producentów wykonawczych przygotowali pierwszy serial, oparty na własnym hicie pod tytułem „ Fargo”. Stworzono nową historię i zebrano obsadę godną tego duetu (z Martinem Freemanem i Billym Bobem Thorntonem na czele). Podobna tendencja dotyczy nie tylko reżyserów, ale także producentów. Bracia Weinsteinowie to jedni z najbardziej wpływowych ludzi Hollywood, którzy teraz również chcą zawojować rynek małego ekranu. Poza wspomnianym „Sin City” mają w planach produkcje oparte na „Poradniku pozytywnego myślenia”, „Krzyku” (przy udziale Wesa Cravena), włoskim gangsterskim hicie pt. „Gomorra” oraz „Mgle”. Ciekawa sytuacja związana jest z tym ostatnim projektem, który zostanie oparty na kinowym filmie Franka Darabonta, będącym adaptacją opowiadania Stephena Kinga, a nie na pierwowzorze literackim. Dziesięcioodcinkowym serialem ma się zająć sam Darabont.

MAŁPY PANA BOGA

Amerkańska stacja Syfy dostarczała kiedyś fanom science fiction wartościowej rozrywki, z popularnym serialem pt. „Battlestar Galactica” na czele. Ich dwa nadchodzące projekty bazują na dość znanych produkcjach. W najbliższym czasie zadebiutuje „Dominion”, który ma rozwinąć koncept walki aniołów z ludźmi z filmu „Legion”; obraz Scotta Stewarta nie odniósł sukcesu komercyjnego ani artystycznego, lecz producenci dostrzegli w nim potencjał na dobrą serialową produkcję. Drugi tytuł wywołuje mieszane uczucia, gdyż jest to małoekranowa wersja kultowych „12 małp” Terry’ego Gilliana. Sporej części widzów nie podoba się, że sam Gilliam nie ma z tym projektem nic wspólnego. Trudno będzie odtworzyć zalety tej opowieści bez specyficznego stylu reżysera.

Producenci sięgają też do starszych tytułów i serii, by zrealizować ich serialowe remake’i. Jako przykład podać można próby zrobienia „Egzorcysty” z okazji 40. rocznicy premiery tego kultowego filmu. Obecnie projekt jest owiany aurą tajemniczości i nie wiadomo nawet, jaka stacja jest nim zainteresowana oraz kto stanie za kamerą. Podobnie wygląda realizacja „Friday the 13th: Crystal Lake Chronicles”, opartego na dość popularnym kinowym serialu pt. „Piątek trzynastego”. W zasadzie byłby to jego prequel, gdyż poznalibyśmy młodość Jasona Voorheesa i zobaczylibyśmy okoliczności, w jakich stał się dobrze znaną postacią. Nietypowo zapowiada się też „Barbarella”, czyli SF oparte na filmie z Jane Fonda i na powieści graficznej Jeana Claude’a Foresta. Autorem serialu jest Nicolas Winding Refn, twórca popularnego „Drive”, więc fani gatunku już zacierają ręce, by zobaczyć kolejne nietypowe dzieło wyjątkowego reżysera.

W planach są także serie, które mimo że nie są bezpośrednio oparte na filmach, to opowiadają historie znane dobrze właśnie z dużego ekranu. Na wstępie: „Ostatni Mohikanin”,

„NOWA FANTASTYKA” I PYRKON NAGRADZAJĄ

MARCIN ZWIERZCHOWSKI

ROK 2014 BĘDZIE WYJĄTKOWY
– POD KONIEC MARCA SVOJE
NAGRODY PO RAZ PIERWSZY WRĘCZĄ
NAJSTARSZY POLSKI MAGAZYN
POŚWIĘCONY FANTASTYCE ORAZ
NAJWIĘKSZY RODZIMY KONWENT.

MECHANIZM NAGRODY

Uważni czytelnicy zauważyli już, że doprecyzowałem, iż Nagrody „Nowej Fantastyki” przyznawane będą w dziedzinie literatury. Dlaczego? Bo jesteśmy pismem przede wszystkim literackim – dokładnie połowa objętości każdego numeru to proza, również w publicystyce obok tematyki choćby filmowej wiele miejsca poświęcamy książkom.

Kategorie będą dwie:

– **KSIĄŻKA ROKU** – może być to powieść, może być zbiór opowiadań, może beletrystyka, może publicystyka. Autorem może być Polak lub Polka, może być też Anglik, Amerykanin, Rosjanin, Hiszpan czy jakkolwiek inny pisarz, który stworzył dzieło wyjątkowe, a które ukazało się w minionym roku w Polsce.

– **REFLEKTOR** – nagroda przyznawana najlepiej rokującemu polskiemu pisarzowi lub polskiej pisarce, przy czym nieważny jest wiek, liczy się dorobek. W założeniu wyróżnienie to ma (właśnie jak reflektor) skupiać uwagę na osobie, która już na początku swojej kariery zdradza oznaki wielkiego talentu i na którą czytelnicy powinni zdaniem Jury zwrócić szczególną uwagę.

Tak, Jury. Logicznym wydaje się, że skoro najstarsze polskie pismo poświęcone fantastyce ma przyznawać swoje nagrody, powinno to robić z użyciem tego, co ma najcenniejsze – wiedzy ludzi, którzy je tworzą. Stąd pomysł wyselekcjonowania Jury, w skład której wejdą redaktorzy oraz współpracownicy „Nowej Fantastyki”.

W roku 2014 Jury Nagród „Nowej Fantastyki” to:

- Jerzy Rzymowski (przewodniczący jury);
- Michał Cetnarowski;
- Marcin Zwierzchowski (sekretarz nagrody);
- Agnieszka Haska;
- Joanna Kułakowska;
- Jerzy Stachowicz;
- Tymoteusz Wronka;
- Robert Zieliński.

W pierwszym etapie głosowania każdy juror zgłasza dowolną liczbę pozycji, które uznaje za godne wyróżnienia. Następnie powstała w ten sposób lista wstępnych nominacji przechodzi weryfikację, w której każdy juror może oddać lub nie oddać swojego głosu na daną książkę – aby dostać nominację, pozycja ze wstępnej listy musi zebrać co najmniej połowę jurorskich głosów (w tym

Pytaniem, które automatycznie przychodzi do głowy jest to, jakim cudem istniejący od ponad trzech dekad miesięcznik poświęcony fantastyce dotychczas nie dorobił się własnego wyróżnienia. Rok w rok organizujemy plebiscyty czytelników, te jednak dotyczą zawartości samego pisma. Od czasu do czasu nagradzamy także najlepsze nadesłane opowiadania, zdarzało się nam również tworzyć rankingi najlepszych książek czy filmów dekady. W każdym numerze redaktorzy i współpracownicy „Nowej Fantastyki” recenzują dla Was książki, komiksy, filmy i gry, wychwalając arcydzieła i krytykując gnioty, nie typujemy jednak tych w danym roku najlepszych.

Próbowano, jeszcze w latach 80. ubiegłego wieku redakcja nagradzała wybranych, inicjatywa nie przetrwała jednak próby czasu i dziś nie ostało się żadne wyróżnienie z logiem „Fantastyki”.

Jak się już jednak domyślacie po lekturze tego wstępu, a przede wszystkim tytułu artykułu, uznaliśmy, że najwyższy czas zmienić ten stan rzeczy. W 2014 roku po raz pierwszy wręczone zostaną **Nagrody „Nowej Fantastyki”**.

Chęć ich utworzenia wyrosła bezpośrednio z chęci nazywania pewnych zjawisk, wskazywania trendów, ferowania wyroków – robienia wszystkiego tego, co powinna robić redakcja pisma takiego, jak „NF”. To duża odpowiedzialność, fakt, ale nie powinniśmy, nie mamy prawa się jej bać. Ba! Jesteśmy wręcz zobligowani, by wziąć ją na siebie. Poza tym, od ponad trzech dekad oceniamy dla Was dzieła fantastyczne – wybranie spośród nich listy nominowanych, a następnie laureatów trudno więc będzie nazwać specjalną rewolucją.

Prawda jest też taka, że – jakkolwiek ckleiwe to nie zabrzmi – Nagrody „Nowej Fantastyki” wyrastają także z miłości do literatury – skoro mamy taką możliwość, chcemy rzucić nieco światła na te książki, które nas zachwyciły, chcemy podzielić się z Wami naszym odkryciem, a ich autorom i autorkom pomóc w uzyskaniu należytej im uwagi. W skrócie: mamy zamiar wykorzystać markę „NF”, by promować to, co w fantastyce najlepsze.



Fot. Klub Druga Era



FANTASTYCZNY ŚWIAT



IZRAEL CZ.2

MAREK GRZYWACZ

W POPRZEDNIM ODCINKU PRZYJRZELIŚMY SIĘ HISTORII IZRAELSKIEJ FANTASTYKI. PORA SPOJRZEĆ NA WSPÓŁCZESNĄ LITERATURĘ TEGO KRAJU I MŁODYCH AUTORÓW, KTÓRZY WKROCZYLI NA SCENĘ.

C'EST LAVIE

Najważniejszym nazwiskiem młodszego pokolenia jest **Lavie Tidhar**, autor nagrodzonej w 2011 roku World Fantasy Award powieści w konwencji historii alternatywnej – „Osama” (w Polsce wydana w 2013, Tidhar gościł też na zeszłorocznym Polconie). Choć pisarz dorastał w izraelskim kibucu, jest z natury kosmopolitą – długo mieszkał w RPA, obecnie rezyduje w Londynie, przez lata podróżował po świecie. Obecnie pisze po angielsku.

Tidhar jest bardzo szanowany w ojczyźnie. Jako redaktor naczelny bloga World SF czy antologii „Apex Book of World SF”, promował mocno fantastykę z Izraela. Chociaż obecnie pisze po angielsku, chętnie publikował hebrajskojęzyczne tłumaczenia swoich opowiadań w tamtejszych magazynach (była o nich mowa w poprzednim odcinku). Pisarz nie odchodzi od tematów związanych z kulturą żydowską i Izraelem. Przykładem hołdowania tradycjom może być jego antologia powiązanych opowiadań „**HebrewPunk**” (trzy opowiadania z tego zbioru, „Operacja Transylwania”, „Śmierć w oparach opium” oraz „Uganda” ukazały się w „Nowej Fantastyce”). Łączy ona nawiązania do mistyki, folkloru i historii żydowskiej z inspiracjami steampunkiem czy przygodowym pulpem w otocze fantasy. Sama fabuła traktuje o grupie nadnatural-

nych awanturników – żydowskim wampirze, nieśmiertelnym cadyku oraz rabinie-okultyście, który za pomocnika ma stworzonego przez siebie golema. Walczą oni z tajemniczym bankiem krwi, a po drodze mierzą się z nazistami, duchami, bądź próbując znaleźć swojemu narodowi nową ojczyznę w Afryce.

PROSTO Z SIECI

Oprócz autora „Osamy” najbardziej wyróżnia się trójka autorów, którzy rozpoczęli swoją karierę w Internecie – **Vered Tochterman**, **Guy Hasson** i **Nir Yaniv**. Wszyscy troje mieszkają w Izraelu i są blisko powiązani z ISSFF oraz inicjatywami fandomowymi (dla przykładu, naczelnymi redaktorami „Chalomot Be'Aspamia” byli kolejno Tochterman i Yaniv), a także mają na koncie anglojęzyczne publikacje.

Najbardziej uznaną postacią z tego grona jest Vered Tochterman – pionierka, jeżeli chodzi o wybiecie się z sieciowego światka na rynek wydawniczy. „Lifamim Ze Acheret” („Czasem jest inaczej”), jej zbiór opowiadań SF z 2002 roku, był pierwszą publikacją, którą uhonorowano Geffenem za krajową książkę. Później Tochterman wygrała także w kategorii opowiadania i wielokrotnie w kategorii tłumaczeń (którymi zajmuje się zawodowo, przekładała między innymi Neila Gaimana). Jest autorką ponad pięćdziesięciu opubli-

kowanych opowiadań, a jej innym znanym projektem jest wydana w 2011 powieść „**Blue Blood**”, wpisująca się w modny na całym świecie nurt wampiryczny, a jednocześnie mocno erotyczna (Tochterman pisze zresztą teksty stricte erotyczne, brała nawet udział w hebrajskojęzycznej antologii kobiecej erotyki). Opowiada ona o specyficznej agencji towarzyskiej, która w zamian za opłatę z krwi pozwala miłośnikom mitycznych wampirów zakosztować nocy z takim stworzeniem. Mimo wysokiej pozycji w kraju, Tochterman opublikowała dotychczas tylko jeden tekst po angielsku – „Hunting a Unicorn” w 2003 roku w „Magazine of Science Fiction & Fantasy”.

Nir Yaniv, zawodowy muzyk i dziennikarz, pisze prawie wyłącznie opowiadania, często bardzo krótkie teksty typu *flash fiction*, rozpoznawalne dzięki elementom humorystycznym i dziwnym intrygom (dwa z nich można znaleźć w polskim tłumaczeniu w „Nowej Fantastyce” 10/2012). W Izraelu wydał już kilka zbiorów, a w 2012 roku wypuścił pierwszy anglojęzyczny wybór, „**The Love Machine & Other Contraptions**”. Napisał także dwie powieści wspólnie z Lavie Tidharem – „**Tel Aviv Dossier**”, thriller fantasy rozrywający się w ogarniętej chaosem stolicy Izraela, w której centrum wyrosła ogromna góra pochodząca z obcego świata, oraz „**A Fictional Murder**”,

AMBITNE PULP FICTION

ROZMOWA
Z LAVIE TIDHAREM

Joanna Kułakowska: Zadebiutowałeś jako poeta, tworzysz literaturę faktu i fantastykę, piszesz komiksowe scenariusze, redagujesz antologie... Czy to chęć eksperymentowania, czy szukanie sposobu na najlepsze wyrażenie siebie?

Lavie Tidhar: Zdecydowanie chodzi o eksperymenty, o rozwój. Niewiele można zrobić w ramach jednej formy i jednego gatunku literackiego, staram się więc przekraczać ramy. Literatura różni się od komiksu. Tam istotne są dialogi, a w komiksie warstwa wizualna.

J.K.: Scenariusze komiksowe są trudniejsze?

L.T.: Tak. Największą frajdę mam z literatury. Gdybym mógł, pisałbym wyłącznie krótkie formy. Z drugiej strony, lubię raz na jakiś czas zmierzyć się z czymś innym. Zacząłem od tomiku wierszy po hebrajsku i fatalnej teatralnej jednoaktówki. Chciałbym być wielkim poetą, ale wiem, że nim nie jestem, dlatego zacząłem pisać SF. Świadomość, że nie stanę się kolejnym T.S. Eliotem, jest bardzo smutna.

J.K.: „*An Occupation of Angels*” jest zimnowojennym thrillerem, opowiadania z „*The Tel Aviv Dossier*” to apokalipsa w stylu weird, trylogia o Księgarzu to steampunk, „*Cloud Permutations*” określasz jako planetarny romans w klimacie Południowego Pacyfiku, a „*Osama*” stanowi mieszankę gatunków z silnym komponentem psychologicznym. W jakiej stylistyce czujesz się najlepiej?

L.T.: Thriller noir. Może dlatego, że w nim ludzie często przenoszą się z miejsca na miejsce, podobnie jak ja. Thriller niejako z definicji opiera się na akcji i zmianach jej miejsca. Z drugiej strony, nie tworzę stricte thrillerów, bo trudno mi po prostu napisać o facecie, który chodzi i zabija ludzi. Musi być element dziwności.

J.K.: Kiedy tworzysz, masz konspekt, czy raczej improwizujesz?

L.T.: Zazwyczaj improwizuję. Nie lubię zbyt dużo wiedzieć z góry. Mogę z łatwością napisać krótki tekst – zacząć kompletnie bez pomysłu i po trzech godzinach skończyć. Zdarzyło mi się, że zamiast ugotować obiad, napisałem opowiadanie, nie mając pojęcia, skąd się wzięło, jednak w przypadku powieści dość długo zajmuje mi nie tyle wymyślenie fabuły, co osiągnięcie momentu, w którym jestem gotowy przelać ją na papier. „*Osama*” zajął mi sporo czasu. Są książki, nad którymi myślę od lat, a które mogą nigdy nie powstać. Poza tym wiele przemyśleń wyrażam na Twitterze.

J.K.: Wspomniałeś, że musisz znać opisywane miejsce. Bardzo dużo podróżowałeś. Jaki kraj zrobił na tobie największe wrażenie?

L.T.: Południowy Pacyfik, Vanuatu. Zazwyczaj gdy piszę SF, trzymam się krótkiej formy, a moje teksty dzieją się w tej samej, od lat rozwijanej przyszłości. Pidgin English z Vanuatu zainspirował język używany w układzie słonecznym w moim uniwersum. Jednak z wiekiem zacząłem się wahać co do opisywania obcych

kultur. Skłaniam się ku pisaniu o rzeczach i kulturze, które dobrze znam. Pracuję nad „*Central Station*” – książką-mozaiką składającą się z wielu opowiadań, które dzieją się w Tel Awiwie przyszłości. Uważam, że nikt inny nie napisze czegoś takiego równie dobrze ze względu na inne przeżycia i pochodzenie. Nie chciałbym, by jakiś angielski pisarz opowiadał o mojej historii i kulturze. Pisz o tym, co znasz – to pierwsza zasada.

J.K.: Podróżowałeś tylko z plecakiem już jako siedemnastolatek – i to do bardzo egzotycznych i niebezpiecznych zakątków. Czy taka swoboda to specyfika kibucu, gdzie dorastałeś, zanim twoja rodzina przeniosła się do RPA?

L.T.: Nie. Struktura kibucu była rygorystyczna. Gdy zmarł Stalin, wszyscy byli w żałobie z powodu śmierci wielkiego wodza. Mój ojciec pamięta wręcz, gdzie był w dniu śmierci Stalina! Przed młodzieżą stawiano wymagania: nauka, prawo jazdy na traktor, armia...

J.K.: Uciekłeś?

L.T.: Od początku wiedziałem, że tam nie pasuję. W końcu byłem fanem SF! Przeprowadzka umożliwiła mi swego rodzaju „ucieczkę”. Byłem oskarżany przez rodzinę o samolubność, przecież życie w kibucu to służba „większemu dobru”, ale ja powiedziałem: *Wiecie co? A ja zrobię coś dla siebie!*

J.K.: Najbardziej dziwna i interesująca anegdota z podróży?

FALSTART

WAWRZYNIEC PODRZUCKI

Gebril Heights wchodziły w skład tak zwanego „siódmego Grewiru”, czyli obszarów wyłączonych spod jurysdykcji municypalnej, a w dużym stopniu również stanowej. W sprawach federalnych wciąż jednak pierwsze i ostatnie słowo należało do nas. Nie byłem tu nigdy przedtem, ale wszystkie te luksusowe quasi-autonomie wyglądały tak samo: hacjendy, pałacyki i bungalowy poukrywane wśród gęstej zieleni, kręte uliczki bez nazw i trotuarów, bramy z kutego żelaza i „strachy na wróble” – maszty zwieńczone kopułkami z antyinigilacyjną elektroniką. W powietrzu przesyconym wonią cyprysów i oleandrów fruwały tylko muchy.

Nie dostrzegłem bodaj jednego mikrooptu, nie było też żadnych kamer. Po drugiej stronie murów to już inna sprawa, ulice były jednak ślepe i jakby specjalnie poplątane tak, by człowiek się zgubił. GPS, o ile w ogóle tu działał, to tylko na prywatnych i zastrzeżonych częstotliwościach, niedostępnych bez nakazu sądu. Nazajutrz dostanę go od ręki, jeżeli zawiadomienie okaże się prawdziwe. Teraz jednak kręciłem się po tym zaczarowanym nigdziebądź jak ostatni dupek.

– Cholera!

Czas mnie co prawda nie gonił, ale to błądzenie zaczynało już irytować, więc kiedy za kolejnym zakrętem ujrzałem mężczyznę w ogrodniczkach, krzątającego się przy ogrodzeniu, zatrzymałem samochód.

– Przepraszam, szukam numeru pięćdziesiąt siedem.

– Pięćdziesiąt siedem? – Starszy jegomość wyprostował plecy. – Mmm, to będzie... trzy przecznice dalej w prawo i na pierwszym skrzyżowaniu znowu w prawo. Ale dzisiaj tam lepiej nie jechać.

– Federalni?

– Tak, skąd pan wie?

– Porucznik Lambert. – Pokazałem z daleka identyfikator.

– Dziękuję, już chyba trafię.

Posiadłość wyglądała na zaniedbaną. Imponujących rozmiarów ogród zdziczał, ze splekań w asfalcie drogi dojazdowej wyłaziła trawa, a pozostawiony sam sobie żywopłot po obu stronach rozrósł się w zielony tunel. Tuż za bramą, na zarzewiałym słupku, wisiała ewidentnie niesprawną kamerą CCTV, model z lat dwudziestych. Kilkadziesiąt jardów dalej znalazłem drugą, z obiektywem bezsensownie wycelowanym w krzaki. Po trzeciej zaś został tylko wysięgnik i kawałek luźnego przewodu. Dla rezydentów enklaw takich jak Gebril Heights nie było nic cenniejszego nad prywatność i święty spokój, niemniej ktokolwiek tu mieszkał, chyba odrobinę z tą prywatnością przesadził. Miejsce było wręcz wymarzone do popełnienia zbrodni.

Na podjeździe przed domem, nawiasem mówiąc jedynym kawałku terenu wolnym od chwastów, krzątali się technicy. Zniecierpliwiony Reynolds wydeptywał żwir, czekając, aż

skończą i pozwolą mu wejść do środka. Przywitałem się.

– Nie patrzysz? – Wskazałem na ekran. Operator mikrodronek skanujących go nie potrzebował, podgląd był tylko dla nas.

– Nie przyjechałem tutaj oglądać filmy, tylko zwłoki. – Patolog wzruszył ramionami. – Hej, długo to jeszcze potrwa?

– Pięć minut!

– Aha. Dziesięć minut temu mówił to samo. Parę lat i my już im w ogóle nie będziemy do niczego potrzebni.

– Przesadzasz – mruknąłem. W głębi ducha podzielałem jednak jego pesymizm.

Reynolds i ja byliśmy relikdami z czasów, gdy liczyły się doświadczenie, intuicja i para bystrych oczu. Ale teraz doświadczenie zastąpiły bazy danych, zaś intuicję – rachunek prawdopodobieństwa, nie wspominając już o oczach, które na całej linii przegrywały z precyzyjnym instrumentarium. Dlaczego więc nie dano mi jeszcze kopa w tyłek? Mogłem sobie wmawiać, że to z powodu nieustającej przydatności, bo choć z roku na rok rzadziej, jednak wciąż trafiały się sprawy zbyt trudne i dziwaczne dla scybernetyzowanego aparatu ścigania. Ale prawda była zapewne taka, że funkcjonowałem już bardziej jako maskotka albo stary mebel, którego się nie wyrzuca tylko przez szacunek dla rodzinnej tradycji.

– Chciałbym – westchnął Reynolds, sadowiac się na kamiennej ławce w cieniu wielkiego dębu. – O co zakład, że za rok wyślą mnie na wcześniejszą emeryturę?

– Najlepszego patologa po tej stronie Gór Skalistych? Prędzej przykują cię do stołu w prosektorium niż pozwolą odejść. W przeciwieństwie do mnie jesteś niezastąpiony.

– Nie ma już takich. – Pokiwał smętnie głową. – Co za kurwskie czasy! A będzie tylko gorzej. Nie idziesz przesłuchać świadka?

– Idę, idę...

– Miłej zabawy.

Ale jako świadek Sandra Ramon, gospodyni, okazała się właściwie bezużyteczna. Nie było jej tutaj wczoraj, bo weekendy ma wolne. Kiedy przyszła rano, jej pracodawca, pan Clayborne, już nie żył. Czy to ona zawiadomiła policję? Tak. Czy widziała kogoś podejrzanego? Nie. Czy gospodarz miał, bądź spodziewał się jakichś gości w ostatnich kilku dniach? Nic jej o tym nie wiadomo. A wcześniej? Tak, jakiś miesiąc temu był pan Shapiro z żoną. To jest z żoną pana Clayborne’a. Czy któraś z tych osób zachowywała się wrogo bądź agresywnie? Czy doszło pomiędzy nimi a zamordowanym do jakiejś sprzeczki? Och, ona nie wie, ona nigdy niczego nie podsłuchuje, kiedy nie ma nic do roboty, siedzi w pokoiku za kuchnią. Czy dotykała cegokolwiek na miejscu zbrodni? Nie, chyba nie. Zwłok? *Madre de Dios*, skąd! Ale tak ją coś tknęło, żeby pójść do salonu i jadalni, bo tam były różne cenne rzeczy... Czyli coś zginęło? Tak, zegar, komplet połączanych sztućców, kilka srebrnych półmisek i dwie bardzo stare srebrne karafki. Coś jeszcze? Nie wie, nie szukała już dalej.

KRE(JZ)OLKA

KRYSTYNA CHODOROWSKA

Nigdy nie sądziłam, że człowiek może się utopić w gabinecie prodziekana.

Zimna woda bez ostrzeżenia zamyka mi się nad głową. Chcę zaczerpnąć tchu i pozbierać myśli, zadziałać, zareagować, ale do płuc wdiera się lodowaty strumień, mrozi, paraliżuje gardło, nie mogę już myśleć o niczym poza tym, jak to strasznie boli. Zaciskam dłonie, próbuję coś chwycić, by nie osunąć się w ziejącą w dole otchłań, ale wszystko wyslizguje się z rąk, drżące sylwetki mebli wiją się jak wodorosty. Twarz prodziekana wykrzywia się, pęcznieje, nabiera fantastycznych kształtów, jak u morskiego stwora.

– Wyniki oceny są jasne – oznajmia kategorycznym tonem doktor Bryson. – Mówi pani biegle w trzech językach, ale w żadnym na wymaganym poziomie. Żaden z pani aktywnych języków nie spełnia kryteriów kategorii A. Chyba wie pani, co to oznacza?

Teraz, skoro i tak tonę, nie ma już znaczenia, co wiem, ale odruchowo potrząsam głową.

– Jest pani alingwalna.

Zapadam się coraz głębiej i niżej w lodowaty mrok, ledwie słyszę, co mówi, bo dźwięki dobiegają do mnie stłumione, jakby z oddali.

– To prawda, od czasu do czasu zdarzało się wprawdzie, że alingwalni studenci pomyślnie zdawali nasze egzaminy, ale muszę zaznaczyć, że żaden z nich nie dotrwał nawet do drugiego roku nauki. Pani jakoś się udało, ale ostrzegam, że to nadal dopiero początek drogi, od tej pory będzie tylko trudniej. Nie ma sensu kontynuować tej ścieżki rozwoju w obliczu tak ewidentnego braku predyspozycji...

Spogląda na mnie i głos mu na chwilę zamiera. Dryfując w zimnej toni, zastanawiam się, jak wyglądam – prawdopodobnie jak coś, co przeleżało zimę na dnie Liffey, a potem wpłynęło na bulwar i wczołgało się do gabinetu.

– Proszę nad tym pomyśleć i skonsultować się z opiekunem studiów – dodaje pocieszająco. – Z pewnością coś pani doradzi.

Zamiast jak zwykle zbiegać pędem po schodach, przeskakując po dwa stopnie, tym razem schodzę powoli, jakbym musiała zastanawiać się nad każdym krokiem. Na zewnątrz wiatr szarpie mój rozpięty płaszcz.

Rozglądam się wokół, na chwilę zatrzymując wzrok na rzeźbie *Kula w kuli*, a jej widok zupełnie niespodziewanie przejmuje mnie nieprzyjemnym dreszczem. Dotąd zawsze mi się podobała – lubiłam zatrzymywać się obok i zaglądać do środka przez poszarpaną szczelinę, odkrywać, że zupełnie gładka i niepozorna kula może kryć w środku tak skomplikowane wzory. Teraz mam wrażenie, że patrzę na akt wandalizmu: ktoś wziął piękną, doskonałą figurę geometryczną, a potem wiedziony kaprysem sięgnął do środka i wypruł z niej flaki. Ciężkim krokiem schodzę na sam dziedziniec, gdzie przysiadam na pierwszej wolnej ławce.

„Jest pani alingwalna...”. Chyba pierwszy raz w życiu usłyszałam takie słowo. Wyciągam tablet z torby.

– Szukaj: „alingwizm” – mówię do bezprzewodowej słuchawki. Pomocny gugiel usłusznie wyświetla wyniki dla hasła „lingwizm”, przekonany, że właśnie o to chodziło.

– Szukaj „alingwalny” – próbuję znowu i przebiegam wzrokiem wyniki. Nawet Wikipedia nie zna tego słowa, co prawie przekonuje mnie, że to wszystko jakieś urojenie.

Upływa dłuższa chwila, zanim w końcu znajduję coś na stronie niszowego czasopisma. Czarna, tłusta czcionka układa się w posępny napis „Journal of the English Kernel”.

Przebiegam wzrokiem treść artykułu.

Tak modna ostatnio teoria „wielokulturowości” – głosi znaleziony fragment – każe nam bezwarunkowo akceptować obecność nieprzystosowanych, źle wykształconych, praktycznie niepiśmieni-nych (jeśli nie wręcz alingwalnych) imigrantów z trzeciego świata, ponieważ rzekomo nakazują nam tak europejskie wartości. Nie ma wątpliwości, że nawet założyciele Unii Europejskiej byłiby zbułwersowani tak absurdalną polityką...

Nie mogę czytać dalej, bo krew uderza do twarzy i już po chwili bucha z niej żar jak z ekspresu do kawy. Mam ochotę odrzucić tablet jak najdalej i dla pewności wdeptać go w ziemię, ale tylko wkładam go do torby.

Na myśl o kawie połowa mnie chce natychmiast pobiec do kawiarni Butler’s, skulić się przy kontuarze, zamówić gorącą czekoladę w dużym kubku – i z małymi piankami, i syropem, i bitą śmietaną, bo dlaczego nie – a później wypić ją jednym haustem, parząc sobie język i podniebienie. Druga tymczasem chciałaby odwrócić się na pięcie, wbiec do gabinetu prodziekana i zapytać, co to wszystko ma znaczyć, dlaczego nazwał mnie słowem, którego poza nim używa tylko banda rasistów i ksenofobów.

A potem zdaję sobie sprawę, że nie są to połowy, tylko jakieś inne ułamki, bo jest jeszcze jedna część, głębsza, bardziej pierwotna, która przede wszystkim chce zadzwonić i poskarżyć się jak dziecko. „Cześć, mamo. Prodziekan nie daje mi szans na ukończenie drugiego roku. Wszystkie te kursy językowe, podręczniki, trzy lata studiów, dwa semestry czynszu w IPCT nie zdały się na nic, najwyraźniej nie nauczyliście mnie nawet rodzimego języka. Cieszysz się?”.

Mam dwadzieścia trzy lata i chcę do mamy.

Spacerem idę na dworzec wzdłuż Conolly Street, mijając księgarnie, tureckie kebaby, irlandzkie skrzaty i polskie wędliny. Wokół rozbrzmiewa wielojęzyczny gwar, z którego odruchowo wylapuję znane słowa. Nie chcę tego słyszeć, żałuję, że nie mogę wyłączyć jakiegos przełącznika w głowie, który na chwilę pozwoliłby mi przestać rozumieć, a wtedy wszystkie te głosy choć na chwilę stałyby się tylko dźwiękami. Mogę zagłuszyć je muzyką – wystarczyłoby włożyć słuchawki, chociaż to też nie ma sensu, nie mam żadnej instrumentalnej – ale nie mogę zagłuszyć ich ciszą.

W okienku z filipińską kuchnią kupuję dwa *popiah*, zamawiając poprzez wskazanie palcem. W bilet do Dunleer zapatruję

COŚ NAJBLIŻSZEGO

(The Nearest Thing)

GENEVIEVE VALENTINE

PRZYPOMNIENIE: BANKIET AKCJONARIUSZY, 20.00
TA WIADOMOŚĆ ZOSTAŁA WYSŁANA PRZEZ MORI:
DLA CIEBIE PATRZYMY W PRZYSZŁOŚĆ.

Coroczny Bankiet Akcjonariuszy Mori to prawdziwe piekło na ziemi. Wszyscy pracownicy mają obowiązek się na nim zjawić, dla podbudowania morale.

Praca w Mori uczyniła Masona tak bogatym, że nosi smoking szyty na zamówienie, a na Bankiet przyjeżdża samochodem, którego ubezpieczenie kosztuje więcej, niż jego ojciec zarabiał przez kilka lat; oczywiście, co roku zjawia się na Bankiecie.

(Jeden jedyny raz zdarzyło mu się nie pójść z powodu choroby; przysłali wtedy dwóch członków Zarządu i firmowego lekarza, by to sprawdzić. Od tamtej pory ani razu nie opuścił Bankietu.)

Jest na tyle ważnym pracownikiem, że Mori chce, aby pokazywał się ludziom. W związku z tym przez większość czasu krąży z drinkiem w ręku, wymieniając uściski dłoni i w kółko opowiadając trzy te same dowcipne anegdoty.

Idzie mu świetnie; dużo ćwiczył.

Wszyscy chichoczą uprzejmie tuż przed puentą.

Lalki wspomnieniowe śmieją się nieco później, ponieważ muszą przetworzyć żart zawarty w zakończeniu. Poza tym program każe im myśleć, że przerywanie jest niegrzeczne.

(Musi przyznać to wydziałowi Estetyki – ludzi po operacjach jest coraz trudniej odróżnić od lalek.)

– Słyszałam, że zaczynasz nowy projekt – mówi pan Harris. Przytula mocniej panią Harris, która uśmiecha się z opóźnieniem.

(Mason nie jest w stanie zrozumieć, dlaczego ktoś zachowuje się publicznie w ten sposób. Lalki mają łagodzić proces żałoby, a nie służyć do obściskiwania. Takie postępowanie jest krępujące. Chciałby, żeby udziałowcy byli nieco mniej entuzjastyczni w okazywaniu swojego wsparcia dla firmy.)

Sam niewiele wie o projekcie, ale zdaje sobie sprawę, że nie należy mówić tego akcjonariuszom.

– Możliwe – mówi. – Oczywiście, nie mogę zdradzić za dużo, ale...

Pan Harris szczerzy zęby w uśmiechu.

– Paul Whitcover już nam powiedział – (Kto taki?, myśli Mason) – i uważamy, że to wspaniały pomysł. Mam nadzieję, że to będzie najlepszy projekt firmy; od dawna nie wyszedł żaden nowy model.

Serce Masona przyspiesza na myśl, że został wyznaczony

do nadzorowania produkcji nowej wersji.

Zamiera, kiedy przypomina sobie Whitcovera. To jeden z tych z Wydziału Kreatywności. Co chwila ukazują się jego zdjęcia z kolejnymi gwiazdkami filmowymi, a dziennikarze w kółko nawijają o tym, jak podskoczyłyby ceny akcji Mori, gdyby ożenił się z jakąś sławną aktorką.

Pani Harris uśmiecha się w przestrzeń, czekając, aż ktoś się do niej zwróci.

Mason spotkał ją kilka Bankietów temu. Była wtedy bardziej aktywna, a on pracował właśnie nad oprogramowaniem konwersacyjnym dla jej generacji; wie, że pani Harris potrafi być duszą towarzystwa. Pan Harris najwyraźniej ograniczył jej zdolności percepcji.

Z drugiego końca Sali dobiega wybuch śmiechu. Mason patrzy w tym kierunku i widzi młodego mężczyznę w motocyklowej kurtce, otoczonego przez grupę ludzi w smokingach i sukniach.

– Kto to jest? – pyta, ale wie, już wie, takie jest życie, więc wzdycha, zanim pan Harris odpowie:

– To właśnie jest Paul.

Od kiedy w wieku piętnastu lat zaczął pracować dla Mori, do Masona dotarło wiele rzeczy.

Zrozumiał, że za pieniądze, jakie dostaje, ma się podporządkować. Pracował przez rok przy produkcji czujników uderzeń dla Wydziału Protez; robisz to, co ci każą.

(Zaakceptował fakt, że im częściej pojawia się na Bankietach Akcjonariuszy, tym mniej czasu spędzasz przy programowaniu czujników.)

Pogodził się z tym, że czasami nienawidzi ludzi, z którymi pracuje, i nic nie może na to poradzić.

(Podejrzewa, że nienawidzi wszystkich, zmieniają się tylko powody jego nienawiści.)

Co ciekawe, Mason nie nienawidzi Paula mimo tego, że Paul pracuje w Wydziale Kreatywności i kieruje projektem R&D. Mason stworzy to, co mu każą, nieważne, jakiego kreatywnego dupka mu przyślą. Nie jest wybredny.

Oczywiście, wkurza go ktoś, kto przedstawia się słowami „po prostu Paul, nie przejmuj się, bardzo mi miło”; irytuje człowieka, którego ojciec był Konsultantem ds. Kreatywności i który nigdy nie cierpiał głodu; denerwuje się, gdy widzi pełne uwielbienia spojrzenia udziałowców, jakimi obdarzają Paula, kiedy ten przekonuje ich, że Mori naprawdę Pokaże W Tym Roku Coś Niezwykłego. To wszystko nie przyprawia go jednak o bezsenność.

DZIKA FARMA

(*Rogue Farm*)

CHARLES STROSS

Był jasny, rześki marcowy poranek: długie, cienkie chmury ciągnęły po południowo-wschodnim niebie ku wschodzącemu słońcu. Joe zadrżał lekko na siedzeniu kierowcy, przekręcając korbę rozruchową starej ładowarki czołowej, którą usuwał brud z obory. Jak jej właściciel, antyczna maszyna Massey Fergusson miała najlepsze lata za sobą, ale też przetrwała już gorsze rzeczy niż to, co Joe regularnie jej serwował. Diesel zawarczał, wypuła kłęb gęstego niebieskiego dymu i zaterkotał do siebie jakby mu się odbiło. Z głową równie pustą jak niebo nad nią, Joe wrzucił bieg w traktorze, uniósł przednią łyżkę i zaczął obracać ją ku otwartym drzwiom obory – akurat żeby zobaczyć nadchodzącą drogą wędrowną farmę.

– Do diabła – zaklął Joe. Silnik traktora zazgrzytał ohydnie i zgąśł. Joe spojrzał jeszcze raz szeroko otwartymi oczami, zeskoczył z traktora i podbiegł do kuchennych drzwi z boku farmy. – Maddie! – zawołał, zapominając o krótkofalówce przy swetrze. – Maddie! Idzie do nas farma!

– Joe? To ty? Gdzie jesteś? – Jej głos donosił się gdzieś z trzewi domu.

– Gdzie ty jesteś? – odrzyknął.

– W łazience.

– Do diabła – powtórzył. – Jak to ta sama, co była tu pod koniec zeszłego miesiąca...

Dźwięk spuszczonej wody zalał jego obawy. Po nim rozległ się tupot stóp na schodach i Maddie wstrzeliła do kuchni.

– Gdzie jest? – zapytała stanowczo.

– Z przodu, jakieś ćwierć mili w górę drogi.

– Dobra. – Z rozwianymi włosami i oczami zdradzającymi złość na przerwanie porannych ablucji, Maddie narzuciła na koszulę ciężki zielony płaszcz. – Otworzyłeś już szafkę?

– Myślałem, że może będziesz chciała z nią najpierw porozmawiać.

– A żebyś wiedział, że chcę. Jak to ta sama, która czała się w zagajniku koło stawu Edgara, mam z nią kilka spraw do omówienia. – Joe pokręcił głową na jej gniew i poszedł otworzyć szafkę na zapleczu. – Weź strzelbę i nie daj jej wleźć na naszą ziemię – zawołała za nim. – Zaraz będę.

Joe skinął do siebie, po czym ostrożnie wyjął strzelbę kalibru dwanaście i pełny magazynek. Lampki baterii i auto-wskaźników zamrugały nieregularnie, ale broń zdawała się w pełni naładowana. Przerzucając ją przez ramię, ostrożnie zamknął szafkę i wyszedł na podwórze, żeby odstraszyć nieproszonego gościa.

Farma przysiadła, brzęcząc i klikając do siebie, na drodze poza Armitage End. Joe, ze strzelbą pod pachą, obrzucił intruza nieufnym spojrzeniem zza drewnianej furtki. Była średniej wielkości, pewnie już z kilkoma wciągniętymi ludzkimi elementami – imponujący kolektyw. Już głęboko pogrążona w farmie fudze, niezdolna zbyt jasno porozumiewać się z ludźmi poza własną wspólnotą umyslową. Pod twardą czarną

skórą Joe zauważał rzeczy sugerujące wewnętrzną strukturę, cytomórkowe makrozespoły wyginające się i przelewające niepokojącymi ruchami. Choć ledwo wyszła z lat szczenięcych, już była wielkości zabytkowego ciężkiego czołgu i tarasowała drogę równie skutecznie, jak czyniłby to apatozaur. Roztaczała zapach drożdży i benzyny.

Joe miał niejasne wrażenie, że go obserwuje.

– Do diabła z tym, nie mam na to czasu – wymamrotał. Obora czekająca na niewielkie stado sklonowanych pajaków gramolących się w górę północnego pastwiska wciąż miała po kolana gnoju, a siedzisko traktora nie robiło się wcale cieplejsze, kiedy on drżał na zewnątrz, czekając, aż Maddie wyjdzie i wszystko załatwi. Nie było to duże stado, ale było na tyle duże, na ile pozwalała jego ziemia i możliwości – duży biofabrykator w szopie mógł szybciej składać trzodę ssaków, niż on mógł je podtuczyć i sprzedać z uczciwą etykietą WYHODOWANE NATURALNIE, NIE DOJRZEWAJĄCE W KADZIACH.

– Czego od nas chcesz? – krzyknął do cicho pobrzękującej farmy.

– Mózgi, świeże mózgi dla dzieciątka Jezus – zanuciła farma ciepłym kontraltem, przez co Joe prawie wyskoczył zeskóry. – Kup moje mózgi! – Pół tuzina niepokojących kalafiorowych kształtów wyłoniło się sugestywnie z tylnej części farmy, po czym wycofało się nieśmiało.

– Nie chcemy tu żadnych mózgów – odpowiedział uparcie Joe, z palcami bielejącymi na kolbie strzelby. – Takich jak ty też tu nie chcemy. Odejdź.

– Jestem dziewięcionogą, półautomatyczną groove-maszyną! – zawodziła farma. – Jestem w drodze na Jowisza z misją miłości! Nie kupisz ode mnie mózgów? – Trzy ciekawskie oczy na słupkach wysunęły się z górnego stoku.

– Eee... – Przed koniecznością wymyślenia nowych sposobów na powiedzenie „odpierdol się” uratowało Joego pojawienie się Maddie. Udało jej się przemycić do domu swój stary mundur polowy po misji pokojowej w Mezopotamii dwadzieścia lat temu, a do tego trzymała się na tyle dobrze, że mogła się w niego wcisnąć. Lewe kolano stroju skrzypiało złowieszczo, kiedy go zakładała, co nie zdarzało się za często, ale wciąż działał dość dobrze, żeby spełniać swoje główne zadanie, jakim było odstraszenie intruzów.

– Ty. – Uniosła półprzezroczystą rękę, wycelowaną w farmę. – Złaż z mojej ziemi. Już.

Idąc za jej przykładem, Joe uniósł strzelbę i przestawił kciukiem selektor na pełny automat. Przy sprzeczce na ramionach Maddie nie prezentowała się okazale, ale pomagała podkreślić ich pozycję. Farma zawyla. – Czemu mnie nie kochacie? – zapytała płaczliwie.

– Wynocha z mojej ziemi – Maddie tak podkreśliła głośność, że twarz Joe wykrzywiła się w grymasie. – Dziesięć sekund! Dziewięć! Osiem... – Cienkie pierścienie pojawiły się po bokach

UTRACONA DUSZA MARGUERITE ESPINOZY

(*El Alma Perdida de Marguerite Espinoza*)

JEREMIAH TOLBERT

Espinozy, wreszcie mogli odetchnąć.

Jako puste naczynie Alvarado spędził między tymi ludźmi siedem dni. Wiedza, jaką na ich temat posiadał ograniczała się do suchych faktów. Ród Espinozów był wielce zamożną rodziną – kupcy dysponujący dziesiątkami żeglujących po *Blanco* statków, parający się handlem kukurydzą i srebrem, które wymieniali na jedwab i korzenne przyprawy. Cała czwórka dzieci została uduchowiona ludzką *almą*, co samo w sobie stanowiło nieomyłne świadectwo powodzenia interesów Espinozy, w które zresztą Alvarado ani przez chwilę nie wątpił. Wystarczająco dowiodła tego, opłacając usługi *maestra* Eusebio.

Alvarado przypatrzył się własnemu odbiciu w misie z wodą stojącej na kolumnie obok łóża zmarłej. *Alma* uspokoiła się nieco i przycupnęła w swym tymczasowym lokum w jego wnętrzu. Tęczęwki *custodia* przybrały kolor oczu starej wdowy – świetlisty lazur, barwę duszy młodej, nie wcielanej zbyt często, wciąż nieskalanej zanadto grzechem. Nie nadto, chociaż zapewne nie wolnej od niego w tym samym stopniu – nie, z pewnością nie w tym samym – co kiedy staruszka została uduchowiona zaraz po narodzinach. Alvarado usilnie próbował sobie przypomnieć, jaki kolor miały jego własne oczy, zanim rozpoczął termin, lecz bez powodzenia. Również musiały być błękitne, lecz zdawało mu się, że od tamtego momentu cały świat urodził się i zmarł już tak wiele razy...

Wyszeptął zwyczajową klątwę skierowaną do *El Dios Tacatño*, czym zwieńczył ceremonię. Słowa zaparcia się oddziaływały na niego znacznie silniej niż kiedykolwiek przedtem – tym razem ich poetyka poruszyła uczucia *almy*. Podniósł swe świeżo zabarwione oczy i skierował ich spojrzenie na rodzinę, pozwalając obmyć się emocjom, jakie dusza żywiła do każdego z nich, jakby były falami o białych szczytach, sunącymi na rzece tuż po letniej burzy.

Roberto wywołał poczucie rozczarowania. Najstarszy syn trwonił swe dni na hulanki, a majątek na hazardowe gry, którymi zabawiał się w porcie z żeglarzami o zwierzęcych duszach. Zmarnowany potencjał, wielki żal, szczęśliwie jednak nie był jedynym synem zmarłej.

Blizniaczki Imelda i Marianela, których jeszcze przed chwilą Alvarado nie był w stanie rozróżnić, pod czujnym przewodnictwem *almy* okazały się nie do pomylenia. Marguerite silniejszą miłością darzyła Marianelę. Alvarado zastanowił się nad tym, po czym zastanowił się nad własnym zdziwieniem. Przecież jego rodzice również nie kochali swych dzieci jednak. *Alma* miłowała obie dziewczyny, lecz to córka przy nadziei okazała się zdecydowaną faworytką.

Małżonek Marianeli, handlarz z południa, którego Alvarado znał jedynie pod imieniem Vasco, pogładził nabrzmiały

brzuch żony i uśmiechnął się. Uczucia żywione przez *almę* wobec mężczyzny były mieszane. Być może ślub odbył się pośpiesznie, wskutek stanu Marianeli. Alvarado nie poznał szczegółów, jako że *alma* nie niosła w sobie tego rodzaju wiadomości. Niemniej nie zaskoczyło go szczególnie, że matrona przekazała swą duszę w spadku właśnie młodej parze. Imelda wciąż była niezamężna, bracia nie mieli żon. Bogactwo mające przypaść w udziale pozostałym z pewnością wystarczy im do nabycia prawdziwej duszy dla dzieci, gdy wreszcie odnajdą swoje drugie połowy. Najlepiej więc było czym prędzej przekazać *almę* kolejnemu pokoleniu, niż marnować monety, powierzając ją opiece *custodia* w rodzaju Alvarda na długie lata miast kilku miesięcy. Staruszka mądrze dysponowała swymi pieniędzmi. I pod tym względem bardzo podobny był do niej najmłodszy syn.

Na Toniu spojrzenie Alvarda spoczęło jako na ostatnim. Bezbrzeżna duma, choć również nieco wzdgardy. Poza tym, co pochodziło od *almy*, Alvarado nie wiedział o nim zbyt dużo. Nie był wiele starszy od *custodia*, lecz studiował w niezmiernie prestiżowej szkole dla synów kupców i handlarzy, w stolicy prowincji. W dniach prowadzących do śmierci wdowy, przed przybyciem jej syna, Alvarado często słuchał matrony, opowiadającej o nadziejach, jakie pokładała w swym najmłodszym i najdroższym. Po jej zgonie to właśnie on miał przejąć i poprowadzić sprawy rodu. Natychmiast po przyjeździe zamknął się w gabinecie wdowy i przejrzał rachunki. I ten właśnie postępek – jak podejrzewał Alvarado – wywołał pogardę *almy*. A może sprowokował ją fakt, że z całej rodziny jedynie młodzieniec nie miał w oczach łez? W tej kwestii *custodio* nie mógł mieć pewności.

Będąc jeszcze próżnym naczyniem, obserwował rodzinę, lecz nie rozumiał powodujących nimi motywacji, nie pojmował ich uczuć. Nie posiadając *almy*, nie miał po prostu środka, który by mu to umożliwił. Teraz, kiedy dysponował pożyczoną duszą Marguerite, jej wspomnienia sprawiły, że głębsze prawdy otwierały się przed nim niczym kwiaty lili.

– Proszę, *custodio*, dbaj o nią jak najstaranniej, dopóki moje dziecko nie przyjdzie na świat – odezwała się cicho Marianela, czym przywołała Alvarda z powrotem do teraźniejszości. Tego rodzaju gubienie się w zadumie nie było do niego podobne. Zapewne wynikało z natury *almy*. Skarcił się w duchu, surowo przykazał umysłowi się skupić i ignorować wytrącające go z równowagi podszepty szamocącej się duszy. Proponowała mu rozmaite rzeczy – pieniądze, władzę, sławę – byle tylko ją uwolnił i pozwolił ulecieć ku ostatecznemu celowi.

„Nie możesz mnie niczym obdarzyć, umarłaś i niedługo zostaniesz przekazana nowemu życiu.”

OBRAZ, SŁOWO, ALZHEIMER (1)

MACIEJ PAROWSKI

W kinie zawsze notuję. Stąd po seansie pomazane długopisem palce i pliki kartek zapisanych urwanymi, zachodzącymi na siebie wersami. Przydają się, mimo że nigdy nie mogę ich do końca odcyfrować. Po tygodniu, po dwóch często już nie pamiętam, z jakiego pochodzą filmu. Co to jest – przyczynek do teorii komunikacji, czy zapis objawów wczesnego Alzheimera?

Senior naszej krytyki, Jerzy Płażewski używał specjalnego, przywiezionego z zagranicy długopisu z latareczką. W sali projekcyjnej na Puławskiej, gdzie wyświetlano obrazy zakazane bądź przedpremierowe, wybuchła kiedyś z tego powodu wielka awantura. Oto Walerian Borowczyk, król polskiej animacji lat 50., a w latach 70. twórca soft porno z ambicjami w rodzaju „Dziejów grzechu” i „Opowieści niemoralnych”, wyprosił Płażewskiego z pokazu.

Poszło o to, że migające światelko przeszkadza innym w odbiorze arcydzieła Borowczyka. Historia się powtarza, koledzy żurnaliści odegrali niedawno w kinie Atlantic podobną burdę o niewyłączonego smartfona czy laptopa, ale kiedyś taki puryzm to było novum. Mimo błahości tkwi w tym ciekawa przesłanka dla teorii odbioru kina. Papieżycza polskiej krytyki filmowej, Maria Kornatowska wydrukowała wówczas pionierski szkic o fali filmów, które wprowadzają widzów w hipnotyczny trans („Alchemia obrazu”, „Kino” 7/1983, zachowałem

Po wejściu wideo i innych nośników, wzrost poziom wiarygodności filmowego piśmiennictwa, tak komentowano to w prasie fachowej. Przy czym nie chodzi tylko o intrygę. W kinie, o którym pisała Kornatowska, w filmach atakujących widza zniewalającym rytmem obrazów połączonych synergicznie z wyrafinowaną muzyką („Odyseja kosmiczna”, „Gwiezdne wojny”, „Czas apokalipsy”, „Blade Runner”) bardzo ważna stała się warstwa wizualna. Kadry złożone z wielu planów, przemyślane do najdrobniejszego szczegółu, wymagały krytycznego studiowania. A o to trudno po jednym seansie.

*

Ale nawet po wielokrotnym obejrzeniu recenzja filmowa nie jest kompletna. Jakiś aspekt widzialności i czasowości kina, pozostaje nieuchwytny dla słowa, nie daje się wpisać w porządek linearnego wywodu. Wystaje poza ramki rubryki liczącej 1500 znaków (ze spacją), a nawet rubryk trzykrotnie bardziej pojemnych. Przy ekstremalnych oczeki-

wogóle zrezygnowała z niektórych postaci, a innym dopisała zachowania, których na ekranie nie ma. Znam wiele osób, które czas poświęcony obejrzanym już filmom uważają za stracony – żadna z nich nie była krytykiem filmowym.

*

Powtórne oglądanie filmów daje nam szansę. Filmy rozmawiają ze sobą w duszy widza, jeszcze lepiej się artykułują w głowie krytyka. Umożliwiają dostrzeżenie pokrewieństw zrazu niewidocznych. I potencjału alegorycznego, prognostycznego, który w swoim czasie wydawał się mniej ważny od akcji.

W takim „Cube” Natali’ego, pozornie filmie znikąd, bohaterowie w podobny sposób badają przestrzeń i szukają bezpiecznych dróg jak w „Stalkerze” Tarkowskiego. A jest tam parę innych leżących na wierzchu świadomych nawiązań i paranteli. Gilliam nakręcił „12 małp” identycznie pijaną kamerą jak kilkanaście lat wcześniej „Brazyl”, ale za pierwszym razem opowiedział o jednostce wgniecionej w ziemię przez państwo, a za drugim o państwie, cywilizacji, rozpieprzonych przez jednostkę. Tu i tu mówił na temat; trzeba sprawdzić czy zachował tę zdolność w nieznanym u nas jeszcze, podobno mętnym „The Zero Theorem” z Christopherem Waltzem.

„TRON”, „Kosiarz umysłów”, „Hakerzy”, „Mortal Kombāt”, „Duch w pancerzu”, „Matrix” – układają się w cykl filmów z cyberprzestrzenią, z których każdy uczy się od poprzednika; pisałem o tym. Ale w tym cyklu potencjalnie mieści się też film „Zabójcza perfekcja” („Virtuosity”), którego w kinach nie pokazano, bo Russell Crowe nie zdążył



Paweł Ostrowski, Łukasz Orbitowski, Elżbieta Marczał, Łukasz Zawada i Agata Kozłowska.
Zielona Góra 2013

ten numer do dziś). Otóż latareczka utrudniała innym pogrążenie się w owym transie (paradoksalnie – Płażewskiemu także), ale zarazem umożliwiała krytykowi rejestrację wrażeń. Ten sam dylemat rozwiązuje osobnik z kamerą w harmonijnym pejzażu albo naprzeciw pięknej kobiety.

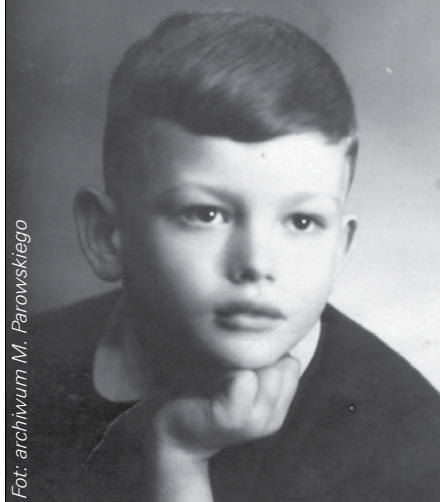
Teraz można ściągnąć film z Sieci, dogonić na otrzymanej od dystrybutora przeglądownce, w wypożyczalniach lub na kablówce. Wówczas z powtórным obejrzeniem niektórych tytułów byłyby kłopoty. Może rzadziej w prasie filmowej, bo ta się pilnowała, ale w codziennej, nie raz i nie dwa łapało się niezłe nawet pióra na błędnych streszczeniach źle zapamiętanych fabuł. Czasem te błędy wchodziły potem do książek.

waniach standardowe recenzje filmowe to zawsze porażki, w większym nawet stopniu niż recenzje literatury. Tam słowo podąża za słowem i jemu daje świadectwo. A tu – za obrazem, dźwiękiem, ruchem, gestem i mową ludzkich twarzy.

Może to, co wymyka się zapisom i ocenie, bywa także szybciej zapominane? Albo deformowane. Nie da się wkroczyć dwa razy do tej samej rzeki, do filmów także, przy kolejnych spotkaniach zawsze wyglądają trochę inaczej. Oglądając filmy powtórnie spostrzegamy, że nasza wyobraźnia pomieszała chronologię, inaczej rozłożyła puenty i uporządkowała wątki,



Lech Kurpiewski i Mirosław Winiarczyk, krytycy filmowi



Fot. archiwum M. Parowskiego

Potwór z lamusa



Agnieszka
Haska



Jerzy
Stachowicz

Lata 1933 i 1934 obfitowały w wiele wydarzeń, które okazały się później znaczące. Tymczasem w prasie, obok kanclerza Niemiec, kryzysu i wybryków polityków, głównym bohaterem artykułów był tajemniczy potwór ze szkockiego jeziora.

2 maja 1933 r. biznesmen z okolic Inverness, przejeżdżając obok jeziora Loch Ness, ku swemu przerażeniu ujrzał w wodzie baraszkuje stworzenie, trochę za duże nawet jak na wieloryba. Historię opisał dziennikarz lokalnej gazety – i się zaczęło. Mnóstwo osób zaczęło sobie przypominać, że już widziało to stworzenie, nazywając je „wężem morskim”, „wielką rybą” lub „smokiem”. Szybko też paskuda – dorobiwszy się oficjalnego miana „potwora z Loch Ness” wylazła na ląd i zaczęła przepelzać przed samochodami lub straszyć damy wracające z kościoła. Według różnych świadectw, stworzenie raz przypominało węża z garbami, raz zaś słonia o wydłużonej szyi i z racicami – miało mierzyć 10 metrów i mieć ogon.

Dowodów na istnienie nieznanego gatunku wodnych stworzeń zdawała się dostarczać poważna nauka, z której postępów zdawali relacje dziennikarze brukowców. Latem 1933 roku łódzkie „Echo” zamieściło artykuł o niemieckich badaniach organizmów żyjących w głębinach. Autor oznajmiał: *Najbardziej wybujała wyobraźnia ludzka nie potrafi wymyślić sobie takich potworów jakie znajdujemy w przyrodzie w olbrzymich wprost ilościach. (...) Są to prawdziwe dziwadła, przypominające wyglądem te niesamowite zjawy, które ukazują się czasem palaczom opium lub zwolennikom haszyszu.*

Historia potwora z Loch Ness odeszłaby może do lamusa, gdyby nie rozwój techniki. 6 grudnia 1933 spacerujący brzegiem jeziora Hugh Gray pstryknął kilka fotek potwora, które szybko ukazały się w „Daily Express”. Parę dni później ekipie filmowej z Glasgow udało się sfilmować coś długiego pływającego w jeziorze. Sprawą potwora zajęła się władza – szkocki sekretarz stanu miał wydać rozkaz, aby policja pilnowała go przed ewentualnymi atakami. Tymczasem ten znów dał się sfotografować – w kwietniu 1934 roku wypoczywający nad jeziorem ginekolog, doktor Wilson uchwycił łeb i szyję stworzenia. Fotografia trafiła na czołówki gazet w całej Europie, zaś nad Loch Ness zaczęły przybywać pielgrzymki żądnych wrażeń widzów. Potwór przynosił zyski – gazety oferowały krocie za aktualne fotki, zaś z księgarskich półek szybko zniknęła pierwsza książka o tajemniczym stworzeniu. Latem 1934 r. urządzono również ekspedycję naukową, którą kierował sir Edward Mountain – jej uczestnicy mieli

zobaczyć potwora przynajmniej kilkanaście razy oraz nakręcić kolejny film. Dowody nie przekonały jednak sceptyków. Zoologowie utrzymywali, że na filmie widać fokę, zaś relacje zostały odrzucone, kiedy okazało się, że uczestnicy wyprawy nie do końca byli naukowcami, a premie za spotkanie z potworem były zbyt kuszące. Mimo to, Nessiemania rozpętała się na dobre.

W WĘŻA MORSKIEGO TRZEBA WIERZYĆ!

Rodzima prasa brukowa wszelkie „morskie opowieści” od dawna traktowała jako dobry wypełniacz szpalt. Bywały one daleko bardziej fantastyczne od historii z morskim wężem – czymże jest pocziwy Nessie przy podmorskiej cywilizacji. W styczniu 1930 roku „Echo” donosiło o spotkaniu załogi francuskiego statku z „morskim człowiekiem”. *Monstrum to wyglądało na 16-letniego chłopca; jego foremnie ukształtowaną głowę posiadała dwoje oczu, na pełnej twarzy odznaczał się przyplaszczony nieco nos. Ciało jego do pasa było barwy żółtawej, od pasa przechodziło w zręczny długi ogon.* Podobne spotkanie opisał Desponte, skądinąd bardzo wiarygodny badacz, który jakoby wziął do niewoli kobietę i mężczyznę syreniego rodu. Mieszkańcy mórz mieli się charakteryzować tym, że kobieta nic nie mówiła i to ją zasadniczo odróżniało od ziemskiej kobiety, zato w wysokim stopniu posiadała sztukę przędzenia i przędła o wiele zręczniejsze niż jej lądowe siostrzyce. O mężczyźnie, poza faktem posiadania ogona, napisano niewiele.

Początkowo sprawy potwora nie potraktowano zbyt poważnie, nieco złośliwie relacjonując wystąpienie policji nad Loch Ness w celu pilnowania porządku wśród fotografów lub nagrodę ufundowaną przez pewnego właściciela cyrku, który zaoferował 20 tys. funtów za złapanie węża morskiego, a jednocześnie zabezpieczył się w towarzystwie asekuracyjnym na wypadek, gdyby musiał zapłacić nagrodę. Wskazywano przy okazji, że sprawa Nessie sta-

je się międzynarodowa – gazety francuskie piszą o istnieniu węża morskiego w sposób bardzo nieprzychylny, co w Anglii biorą im bardzo za złe oraz sugerują, że nad Loch Ness jest zbyt dużo wytwórni whisky, zaś gazety niemieckie twierdzą,

Wąż morski i... przyjaźń niemiecko-angielska.

Nowy wąż morski pod Berlinem?

Polowanie na węża morskiego w Loch Ness.



Prószyński Media Sp. z o.o.
ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa
76 1140 1977 0000 2542 6100 1006

PYTANIA DOTYCZĄCE PRENUMERATY:

- TELEFONICZNIE: (w godz. 8.00–16.00): 22 27 81 727
- LISTOWNIE POD ADRESEM: Prószyński Media Sp. z o.o.,
ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa
- LUB NA ADRES E-MAILOWY: prenumerata@proszynskimedia.pl

ZASADY PRENUMERATY:

- prenumeratę należy zamawiać z co najmniej miesięcznym wyprzedzeniem od pierwszego zamawianego numeru na okres 12 miesięcy
- reklamacje należy zgłaszać w ciągu dwóch miesięcy
- koszty manipulacyjne związane z dokonaniem wpłaty w banku lub na pocztę ponosi zamawiający.
- książka będzie wysłana z najbliższą wysyłką prenumeraty.

Uprzejmie informujemy, że dokonując wpłaty, wyrażacie Państwo zgodę na umieszczenie swoich danych osobowych w bazie danych Prószyński Media Sp. z o.o. – wydawcy „Nowej Fantastyki”, z siedzibą w Warszawie, ul. Rzymowskiego 28, oraz na korzystanie z nich i przetwarzanie w celach marketingowych i promocyjnych. Prószyński Media Sp. z o.o. może udostępnić te dane innym podmiotom w celach dotyczących promocji produktów tych podmiotów. Podanie przez Państwa danych jest dobrowolne i przysługuje Państwu prawo dostępu do treści swoich danych oraz ich poprawiania. Prószyński Media Sp. z o.o. zapewnia ochronę danych zgodnie z Ustawą z dnia 29.08.1997 r. o ochronie danych osobowych (tekst jednolity Dz.U. Nr 101 z 2002 r., poz. 926 z późn. zm.).

KONKURSY ▶ PROSIMY O PODAWANIE ADRESU I NUMERU TELEFONU

„DIABLO III: NAWALNICA ŚWIATŁA”

WYDAWNICTWO INSIGNIS

JAK BRZMI TYTUŁ PIERWSZEJ POWIEŚCI
AUTORA „DIABLO III: NAWALNICA ŚWIATŁA”?



Po klęsce Najwyższego Zła odradza się Królestwo Niebios. Rada Angiris odzyskała Czarny Kamień Duszy i strzeże przekłętą artefaktu gdzieś w głębi roziskrzonego Srebrnego Miasta. Na tle tych doniosłych wydarzeń Tyrael z trudem odnajduje się w roli nowego Uosobienia Mądrości. Czuję się obco pośród anielskiej braci i wątpi, czy uda mu się stanąć na wysokości zadania. Poszukując otuchy w sobie samym i w Niebiosach, wyczuwa złowieszcze oddziaływanie Czarne Kamienia Duszy na swoją ojczyznę.

Wśród czytelników, którzy do końca marca nadeślą poprawną odpowiedź na nasz adres pocztowy lub internetowy (konkurs@fantastyka.pl), wylosujemy 5 laureatów, z których każdy otrzyma książkę ufundowaną przez Wydawnictwo Insignis.



„ASSASSIN'S CREED. CZARNA BANDERA”

WYDAWNICTWO INSIGNIS

KTO „ZMARNOWAŁ ŻYCIE MI”, KTO
„W HISZPAŃSKIEJ TONIE KRWI”,
KTO „OTULI NAS NA DNIE”?



Złota Era Piractwa. Śmiałków wabi Nowy Świat. Edward Kenway – arogancki młokos, syn angielskiego handlarza suknem, którego obsesją jest złoto – nie może oprzeć się pokusie spędzenia reszty życia na pełnym morzu.

Po tym, jak jego rodzinne gospodarstwo pada ofiarą ataku, Edward podąża za swoim pragnieniem i wkrótce zyskuje sławę jednego z najniebezpieczniejszych korsarzy swoich czasów.

Wśród czytelników, którzy do końca marca nadeślą poprawną odpowiedź na nasz adres pocztowy lub internetowy (konkurs@fantastyka.pl), wylosujemy 5 laureatów, z których każdy otrzyma książkę ufundowaną przez Wydawnictwo Insignis.

Prószyński Media „Ziemiomorze”

Użytkowe imię Geda brzmiało
Krogulec i nadały mu je dzieci
na wyspie Gont.

Sebastian Łęczczyński – Pruszcz Gdański
Katarzyna Klag – Nowy Sącz
Aneta Sosinowska – Mrozy



Wydawnictwo Powergraph „Przedksiężycowi”

Anna Kańtoch otrzymała trzy
nagrody im. Janusza Zajdla.

Agnieszka Matkoka – Kotlin
Kacper Kogut – Rzeszów
Agnieszka Blajet – Prztyczna



ROZWIĄZANIA KONKURSÓW Z NUMERU 01/2014 „NF”



ADRES REDAKCJI:

ul. Rzymowskiego 28
02-697 Warszawa

Telefon 695 858 802
Faks 22 27 81 775

E-MAIL:

nowafantastyka@fantastyka.pl

WWW.FANTASTYKA.PL

Wydaje Prószyński Media Sp. z o.o.
ul. Rzymowskiego 28,
02-697 Warszawa

Prezes zarządu:
Maciej Makowski

Dział Promocji i Reklamy:
Artur Kaczorek, tel. 22 27 81 717
arturkaczorek@proszynskimedia.pl

Druk i oprawa:
ORTIS Sp. z o.o.,
86-050 Solec Kujawski, ul. Brukselska 8

Kolportaż:

Firma 2M Magdalena i Marek Szwed
ul. Poznańska 484, 05-850 Kopki
tel (22) 245-45-52

REDAKCJA:

Jerzy Rzymowski
redaktor naczelny/dział publicystyki
jerzyrzymowski@fantastyka.pl

Maciej Parowski
ojciec redaktor
maciejparowski@fantastyka.pl

Michał Cetnarowski

Dział Literatury Polskiej
michalzetnarowski@fantastyka.pl

Marcin Zwierzchowski

Dział Literatury Obcej
marcinzwierzchowski@fantastyka.pl

Irina Pozniak

Dział Graficzny, tel. 22 27 81 734
irinapozniak@proszynskimedia.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych,
w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo
do dokonywania zmian i skrótów. Za treść reklam
nie odpowiadamy.

STALI WSPÓŁPRACOWNICY:

Krystyna de Binzer, Wojciech Chmielarz, Paweł Deputch, Marek Grzywacz, Agnieszka Haska, Andrzej Kaczmarczyk, Rafał Kosik, Joanna Kulakowska, Bartłomiej Łopatka, Waldemar Miałkiewicz, Rafał Śliwiak, Łukasz Orbitowski, Bartłomiej Paszyk, Przemysław Pieniążek, Piotr Piękosz, Wawrzyniec Podrzućki, Jerzy Stachowicz, Michael J. Sullivan, Peter Watts, Jakub Winiarski, Tymoteusz Wronka.

Wbrew powszechnej opinii, Noe zabrał na arkę
jednoróżce, i smoki. Oba gatunki wyginęły dopiero
później, z powodu niedoborów dzwiczek.